

Arkadiusz Lewandowski

**„O KONSERWATYZMACH I WIECZYSTYCH PYTANIACH” -  
WYWIAD Z PROF. DR. HAB. BOGDANEM SZLACHTĄ  
(UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI)**

---

Ostatnie dekady to czas zacierania się klasycznego rozumienia pojęć, także tych, które pozwalały nam poznawać i wyjaśniać przestrzeń społeczno-polityczną w Polsce. Proces ten dotyczy także kategorii „konserwatyzm”. Można odnieść wrażenie, że od momentu, gdy Ryszard Legutko w eseju *Trzy konserwatyzmy*<sup>1</sup> dokonał klarownej definicji i typologizacji omawianego zagadnienia, w dyskursie medialnym konserwatyzm stał się pojęciem jednocześnie niejednoznacznym i mocno zrelatywizowanym. Jak zatem wyjść z tej pułapki? Jak zdefiniować współczesny polski konserwatyzm polityczny? Co było/jest jego esencją?

Legutko, znawca filozofii antycznej, pisał wspomniany esej na początku lat 90. XX w., by unaocznic i tę wersję konserwatyzmu, która „mówi o świecie, jaki jawi się w tym doświadczeniu ludzkim, które najpełniej wyraża religia zwracająca nas ku transcendencji oraz filozofia stawiająca sobie za cel dotarcie do prawd wiecznych” (gdzie indziej, w tekście umieszczonym w zbiorze *Podzwonne dla błazna*<sup>2</sup> z 2006 r., w związku z tą wersją opowie o jednym z trzech sposobów pojmowania przez konserwatystów rzeczywistości), i tę wersję, która „ogranicza się do pewnego fragmentu świata przez człowieka tworzonoego”, zatem już nie odnosi się, nie kieruje, ani nawet nie zahacza wprost o transcendencję czy Transcendencję, ani o prawdy wieczne, lecz zahacza „o jakąś ukształtowaną w dłuższym procesie historycznym całość kulturowo-

---

1 R. Legutko, *Trzy konserwatyzmy*, w: R. Legutko, *Etyka absolutna i społeczeństwo otwarte*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 1994.

2 R. Legutko, *Podzwonne dla błazna*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2014.

-cywilizacyjną, posiadającą własną dynamikę rozwojową i własną tożsamość, taką jak Europa, cywilizacja zachodnia, tradycja narodowa, itd.” (gdzie indziej nazwie ją drugim sposobem ujmowania rzeczywistości przez konserwatystów). I tę wreszcie wersję, którą wiąże raczej z postawą niż ze stanowiskiem broniącym rzeczywistości „wiecznej” ukształtowanej bądź wciąż się kształtującej zgodnie z własną dynamiką i tożsamością, lecz z postawą nie tyle przyzwalania na to, co jest takie, jakie jest, jak komunizm jako-by odchodzący w niepamięć po 1989 r., lecz zachowywania w możliwie niezmiennym stanie tego, co bezpośrednio otacza podmioty, co ich dotyka wprost, co związane „z rodziną, pracą, obcowaniem ze sztuką, kultem religijnym, rozrywkami czy życiem lokalnej wspólnoty” (gdzie indziej zostanie to powiązane z rzeczywistością, w której milcząco lub biernie aprobuje się też instytucje i ludzi władzy, zatem postawą lojalistyczną, umiarkowaną, rodzącą się z potrzeby stabilizacji i politycznego spokoju).

To ciekawy esej, którego autor ma świadomość, że „przynajmniej od czasów Johna Stuarta Milla”, zatem od pierwszych dekad XIX w., „głównym przedmiotem troski antykonserwatystów stała się właśnie sfera kultury, edukacji i religii, gdzie odnieśli oni znaczne sukcesy. Byli oni przekonani, że zakorzenione w nich apele o samoograniczenie, a więc pozostanie w obrębie metapolityki, nie jest możliwe i że nawet znikomy jego stopień w tej dziedzinie może odrodzić instytucje autorytarne”. Zatem Legutko wie, na początku ostatniej dekady XX w., gdy Polska nie była jeszcze członkiem Unii Europejskiej (w której to elitach politycznych po trzydziestu latach zdiagnozuje chorobę), że zwłaszcza konserwatyizm odsyłający do Transcendencji i prawd wiecznych zdaje się być źródłem zagrożeń, że kryje w sobie „potencjał autorytarny” i winien zostać zanegowany, a nie tylko zidentyfikowany w tej perspektywie. Każdy, kto śledzi jego dzieje jako jednej z propozycji w zakresie myśli politycznej, wie jednak, że konserwatyizm niesie inny potencjał, krytyczny, że zwraca się przeciwko rozlicznym, a różnym „doktrynerstwom”, że ostrzega przed próbami realizowania rozmaitych wyspekulowanych projektów opartych na takich kategoriach jak wolność jednostki lub równość ludzi, które – „absolutyzowane” – stają się podstawą krytyk nie tylko wszelkich ujęć „metapolitycznych”, ale także wszelkich rozwijających się w dłuższym okresie kultur. Nie dość, że ujęcia takie pozwalają postrzegać jednostkę jako twórcę wszystkiego, co ją otacza, jedyne go autora własnego projektu życia i budowniczego własnej „hierarchii wartości”, to problematyzują korzenie, z których wyrastają zbiorowości lub w których tkwi to, co scala ich członków. Nie idzie już tylko o to, że ich autorzy porzucają np. tezę o nadnaturalnym fundamencie Kościoła i usuwają Boga z rozważań, nie uznając Jego istnienia, ale także o to, że zbiorowość traktuje się jako wciąż na nowo stwarzaną i wciąż na nowo ustanawiającą dla siebie jedyne wiążący ją ład; że – jak w sporze sprzed dwóch i pół stulecia z Edmundem Burke’em orzekł Thomas Paine – „prawo zmarłych”, które kształtowało się długo, nie może wiązać żywych. Spór dotyczył nie tyle odesłań do Transcendencji czy prawd wiecznych, ile kształtującej się w długim okresie kultury, z której miał wyrastać i któ-

ra miał chronić ład prawny dostosowywany do tego, co go poprzedza – nie tyle do moralności absolutnej związanej z wolą Boga lub naturą, ile do zróżnicowanych konstytucji naturalnych wspólnot nade wszystko narodowych. Lecz poszukiwania przez ludzi zasiadających w organach legislacyjnych takich wspólnych treści, kojarzonych z jednakimi przekonaniem ich umysłów (jak jeszcze u Locke’a) lub z „duchem praw” (jak u późniejszego od niego Monteskiusza) zostały zarzucone, gdy ich mandat przestał być faktycznie wolny, gdy zaczęli oni reprezentować partie masowe raczej z właściwymi im partykularyzmami oraz grupy wybierające ich niż całą zbiorowość. Odtąd, i Legutko ma rację sytuując początki zmiany w połowie XIX w., konserwatysta odsyłający do Transcendencji lub prawd wiecznych, do kształtującej się w długim procesie kultury, stawał się osobliwością, nie pojmował bowiem zasadniczego przejścia od tego, co trwałe, choć zmieniające się, do tego, co jest grą lub jej wynikiem, grą toczoną przez aktorów politycznych powodujących się wyłącznie partykularnymi interesami, dążących do pokonania przeciwnika, a nie współodkrycia wraz z nim tego, co jakoby ma wiązać obie strony.

To kontekst nie współczesny jedynie, lecz już dawny. Kontekst jednak, który należy uwzględnić, by dostrzec wagę sporów o „suwerenność moralną” jednostki i jej ledwie „autonomię”, to, czy – uczestnicząc w wyborach, a pośrednio w kształtowaniu prawa także dla siebie – zna jakieś uwarunkowania ją także wiążące czy też ich nie uznaje albo ma je za nieistniejące, bo wsparte na „z murszałych podstawach”, jak wola Boga czy natura ludzka; sporów o treści kulturowe scalające wspólnotę, do której włącza się jedynie dana jednostka, oraz o możliwość kreowania przez jednostkę własnej tożsamości mimo takich treści, znów uznawanych za nieistniejące, bo wynikające ze „z murszałych”, a do tego groźnych, bo poddających ją narzucanym z zewnątrz regułom postępowania. Z jednej strony moralne spory, z drugiej – prezentowanie polityki jako środowiska nieustannych i niemożliwych do zwieńczenia zmagania, przypominające niekiedy sławetne Leninowskie „kto kogo?”, to zjawiska coraz wyraźniejsze w liberalnych demokracjach Zachodu, w których nie tylko wzmaga się problem wielokulturowości (z pytaniem o możliwość wskazania kryteriów niewyrastających z partykularnej kultury, pozwalających mierzyć zasadność poszczególnych kultur), ale także mnożą się „ideologie równościowe” uzasadniające usuwanie elementów różnicujących ludzi w oparciu o rozstrzygnięcia kulturowe. Tym samym nie tyle już odesłania do Transcendencji i prawd wiecznych stanowią główne pole batalii z konserwatystami (choć niektórzy z nich wciąż na nim tkwią), ile kultura, „prawo zmarłych”. To ona, jak pisałem ongiś w książce *Z dziejów polskiego konserwatyzmu*<sup>3</sup>, jej rozumienie i relacja do niej polityki budzą spory szczególne. Z trzech sposobów pojmowania konserwatyzmu pierwszy traci znaczenie w społeczeństwach laicyzujących się czy coraz

3 B. Szlachta, *Z dziejów polskiego konserwatyzmu*, Wydawnictwo Dante, Kraków 2000.

mocniej zsekularyzowanych, mających przy tym filozofię albo za bliską poezji (cóż rzekłby na to bliski Legutce Platon?), albo za strażnika sensownych zdań nauki mającej unieważniać zdania i teologów, i metafizyków (triada Comte'a jest wciąż ważna, jak ważna jest „idea postępu” uzasadniająca usuwanie wszelkich „dawnych złogów”, do których – wedle postmodernistów – należy już także nowożytny racjonalizm).

**Konserwatyzm polityczny w Polsce po 1989 roku stanowił do pewnego momentu wdzięczny obszar badań. Nie dość, że politycy w swoich deklaracjach, a partie w programach wyborczych wprost odwoływali się do konserwatywnej doktryny, to jeszcze konserwatyzm pojawiał się w nazwach ich partii. Konserwatystów na polskiej scenie politycznej było tak wielu, że konieczne były podziały ich różnicujące. Badacze zagadnienia wprowadzali różne typologie, gdzie obok monarchistów znajdowali się m.in. konserwatywni liberałowie. Czy zatem, parafrazując tytuł książki Jacka Bartyzela, możemy mówić o gąszczu konserwatyzmów w Polsce po 1989 roku?**

Z pewnością tak, lecz nie jest to wyłącznie „polska specyfika”. Pomijając nawet „przypadek amerykański”, który ma konserwatyzm za nazwę dla liberałów broniących praw podmiotowych jednostki, sięgających po Locke'a, by krytykować rozbudowane państwo opiekuńcze wdzierające się w majątki obywateli, liberalizm zaś za nazwę dla podejść socjalistycznych, rozbudowę takiego państwa uzasadniających, warto pamiętać o różnorodności orientacji konserwatywnych mnożących się od XVIII w. Inny wariant konserwatyzmu prezentował Burke, inny autorzy kojarzeni z Francją, jeszcze inny myśliciele niemieccy. W polskim konserwatyzmie także pojawiały się różne orientacje, skoro już w latach 40. XIX w. Antoni Zygmunt Helcel rozróżniał prawdziwy i fałszywy konserwatyzm, a badacze podkreślają odmienności dzielące nawet konserwatystów galicyjskich: obok „stańczyków” z zachodniej i „podolaków” ze wschodniej Galicji do ich grona zaliczani są także ultramontanie krakowscy i lwowscy. Różnorodność oparta na mocniejszym bądź słabszym eksponowaniu władzy jako nie tylko „instytucji ładu”, ale także „instancji” koniecznej dla okiełznania namiętności politycznych lub raczej „anarchicznych” upadłego człowieka, albo na mocniejszym bądź słabszym eksponowaniu znaczenia religii odsyłającej do Boga jako Autora natury ludzkiej, jednakiej w każdym człowieku, niekiedy jednak traktowanej nawet jako „narzędzie polityczne”, podobne religii publicznej znanej starożytnym poganom, dopełniana była jedynie apoteozowaniem jakiejś formy rządów (zwykle monarchii), a w XX w. krytykami totalitaryzmów oraz kierunków rozwoju demokracji liberalnej. Za konserwatystów uznają się bądź są uznawani i ci, którzy wciąż odwołują się do natury gatunkowej i prawa naturalnego, i ci, którzy naturę taką kojarzą już z jednakimi uprawnieniami przyrodzonymi jednostek bądź z jednakimi prawami osób ludzkich; ci, którzy zbliżają się do narodowców, i ci, którzy eksponują raczej jednostkę

i jej uprzedniość względem zbiorowości, jednak nie gwoli przydania jej „suwerenności moralnej”, lecz gwoli ukazania jej prywatności jako nienaruszalnej dla rozrastającego się niemal żywiołowo, w imię realizacji sprawiedliwości społecznej, opiekuńczego państwa, z wolna mającego stawać się „wszystkim we wszystkim” mimo zapowiedzi neutralności, mnożącego przepisy, standaryzującego, gubiącego różnorodność kształtowaną w długim procesie, paradoksalnie – w imię wolności – upodabniającego do siebie obywateli, ale i – w imię równości – zapewniającego im opiekę na różnych polach.

**Czy wspomniana wielość konserwatyzmów przełożyła się na znaczenie konserwatyzmu w III RP? Jaką rolę w tym okresie odegrał konserwatyzm i jaki konserwatyzm wówczas dominował? Gdzie z kolei moglibyśmy odnaleźć trwałe ślady konserwatywnego wpływu na polską politykę ostatnich dekad? Czy, tak jak sugerują niektórzy, konserwatyzm ma swoje odzwierciedlenie w konstytucji z 1997 roku, np. w definicji małżeństwa? Można to pytanie przedstawić w szerszej perspektywie - czym w III RP był/jest konserwatyzm polityczny: doktryną rezonującą na realną politykę, językiem opisu świata czy pustym hasłem, stanowiącym niekiedy fałszywy opis politycznych projektów?**

Pytanie jest niezwykle złożone: jeśli dotyczy skuteczności działania ugrupowań związanych się konserwatywnymi, to ich znaczenie trudno uznać za istotne. Bywały jednak i istnieją ugrupowania niemające w nazwie żadnego „konserwatywnego członu”, odwołujące się jednak do wspomnianych już sposobów pojmowania konserwatyzmu. Jeśli skojarzymy go z apelami o zachowywanie treści kształtujących się w długim okresie, sięgających już to rozwiązań klasycznych, przedchrześcijańskich, powiedzmy: republikańskich, kładących akcent na znaczenie wspólnoty, już to rozwiązań chrześcijańskich, kładących akcent także na cele istnienia jednostek przekraczające poziom wspólnotowy, bo odsyłające ku Bogu i wiążące się przecież z nadzieją zbawienia indywidualnego, a nie zbiorowego, to ujrzymy, iż próby obrony przez nie tradycji, jak się najczęściej powiada „wartości utrwalonej” lub utrwalających się w długim okresie, obecnych w pokoleniach ojców i w ich literaturze oraz innych ich dziełach, w tradycji odróżniającej Polaków od członków innych nacji itd., nawet uzasadniającej pojmowanie małżeństwa, mają walor konserwatywny i są podejmowane. O tym jednak, czy są one skuteczne, decydują nie argumenty, lecz emocje. Dla wielu różne podejścia konserwatywne, mimo ich krytycznego nastawienia do „doktrynerstwa”, stają się również doktrynerskie, bo nakierowane są na bezrefleksyjną zdaniem krytyków (jako niewzględniącą „zmieniającą się dynamicznie i linearnie, postępowo rzeczywistość”) obronę tego, co przebrzmiało. Obrażliwe niekiedy formuły stosowane wobec obrońców tego, co „zadawnione”, są jednak zwykle znakami emocji: miast debaty toczona jest walka. Tymczasem debata wydaje się potrzebna, namysł nad celami człowieka i

istnieniem zbiorowości, do której należy – kulturowej lub (lecz czy tylko) politycznej – winien być stale prowadzony, bez niego bowiem rzeczywistość nas otaczająca będzie zmieniana w oparciu nie o rozeznanie, lecz w oparciu o grę emocji wzbudzanych niekiedy intencjonalnie przez politycznych i medialnych aktorów. To dla konserwatystów istotny problem: polityka nie jest dla każdego z nich celem samym w sobie, lecz środowiskiem, które w jakimś zakresie określone jest przez wspólnotową kulturę. Inny problem – czy istnienie takiej kultury uznają wszyscy polityczni aktorzy, czy też pojmują ją oni jako kształtowaną dopiero przez każdą jednostkę niejako dla siebie, niewarunkującą także politycznych aktorów, lecz przez nich warunkowaną...

**Obok partyjnego wymiaru konserwatyzmu, w III RP znacząco rozwinął się jego społeczny i intelektualny wymiar. Środowiska skupione wokół takich pism jak m.in. „Frona” „Teologia Polityczna”, „Arcana” stanowiły prężne zaplecze dla działań formacyjnych, jak i aktywności społecznych. Czy można zaryzykować ocenę, że siłą polskiego konserwatyzmu po 1989 roku był jego intelektualny i kulturowy, często wyrażany na poziomie publicystycznym, wymiar?**

Obok wymienionych pism wspomniałbym znaczenie choćby utworzonego z inicjatywy wspomnianego już Profesora Legutki krakowskiego Ośrodka Myśli Politycznej, który w swej „Bibliotece Klasyki Polskiej Myśli Politycznej” ogłosił już ponad sto tomów pism myślicieli dawnych i niemal współczesnych, w tym wielu konserwatystów o różnorodnych podejściach. Pominę zagadnienie bolesne, jak wielu czytelników miały te oryginalne pisma, jak wielu młodych Polaków po nie sięgnęła bądź sięga. Pominę też inne zagadnienie, jak wielu sięga po pisma, które w pytaniu skojarzone zostały z „prężnością zaplecza”. Istotne wydaje się jednak podkreślenie, że dzięki ich działalności „jakieś grono” uświadomiło sobie wagę rozumowań konsekwentnych w dobie „dominacji niekonsekwentnego myślenia”, wagę krytyk podejść wywodzonych z „absolutyzowanych” kategorii, unaoczniających potrzebę wnikania w złożone zjawiska, wreszcie wagę pytania o to, czy jednostka jest samą w sobie i dla siebie, samodzielnie budującą swą tożsamość, czy też jest zakorzeniona, winna kultywować pamięć, niekoniecznie jedynie o martyrologii przodków, ale także o pytaniach przez nich stawianych, dotyczących kwestii podstawowych – o cele jednostki i zbiorowości, w której pozostaje, o znaczenie politycznego wymiaru wspólnoty politycznej pozostającej w ramach międzynarodowej organizacji; o to, czy naród jest rozwijającą się „organiczną całością” w związku z tym, co zdarzyło się jej uprzednio, czy tylko stowarzyszeniem mającym realizować cele obrane przez jego twórców, być może wciąż obierane na nowo. Jeśli refleksja polityczna ma być pełniejsza, nie zredukowana do spraw bieżących i nie naśladowująca refleksji dominującej np. w akademii, to wspomniane wątki, wydobywane przez publicystów sięgających także do różnych podejść konserwatywnych, wciąż winny być podejmowane.

**Był moment, że mówiliśmy w Polsce o swoistej „rewolucji konserwatywnej”, której wyrazem był m.in. zwrot młodych Polaków ku konserwatywnym wartościom. Okazało się jednak, że nie był to trend długotrwały. Narracje konserwatywne powoli zaczęły przechodzić do defensywy, a wahadło poglądów wśród młodzieży wychyliło się w drugą stronę. Jak Pan Profesor diagnozuje źródła tej zmiany?**

Przyczyn zapewne jest wiele. Wspomnę tylko o kilku, nie odwołując się do trudnych do zdefiniowania „konserwatywnych wartości” (czy jest nią wolność jako stan, a może rodzina jako grupa społeczna?), ani nie komentując mocnego orzeczenia o wychyleniu się wahadła. Istotnie jednak nastawienie uległo zmianie: w ostatniej dekadzie XX w. studenci szukali tekstów konserwatystów i o konserwatyźmie, ufając, że w polemikach wymagających racji i argumentów wykuwać się będzie świat polityczny, wymagający zakorzenienia w tym, co rodzime, własne. Rychło okazało się jednak, że świat ten zdominowany jest przez grę, że bardziej niż argumenty potrzebna jest znajomość marketingu politycznego. „Wieczyste pytania”, tak ważne wedle Legutki dla konserwatystów, zajmują coraz mniej liczących, okazuje się bowiem, że należący do ich grona narażają się na zarzut wsteczności, by nie rzec niedopasowania do wymagań politycznej poprawności. Dawność niesie błędy raczej niż sukcesy czy chwałę, skoro zbiorowość, do której należą, jest tak zapóźniona, skoro nie kroczy w awangardzie postępu i dobrobytu, lecz pozostaje w ariergardzie. Ten, kto do niej odsyła, a wiele mieliśmy w ostatnim czasie przykładów raczej eksponowania historii niż refleksowania nad teraźniejszością i przyszłością, nie służy zbiorowości, jest znakiem utraty troski o jej rozwój. Zmianę nastawienia w tym zakresie wzmacnia, jak sądzę, popularność przeświadczenia, iż każda jednostka ma „siebie ustanawiać”, dążyć do „autentyczności”, włączać się w proces „wyjarzmiania”, to jest identyfikowania i usuwania wszelkich „narzędzi uprzedmiotowiających” podmioty. Zmieniamy język i kajamy się za błędy przeszłości, nie dostrzegając już w nich ani tego, co nas scala, ani tego, co daje nam poczucie należenia do tej samej zbiorowości; zbiorowości niezwykle rozbitej, której członkom konserwatysta mógłby zalecić refleksję nad każdym z trzech znanych mu rodzajów rzeczywistości: i tym, który odsyła do Transcendencji i prawd wiecznych, i tym, który kieruje ku kulturze i religii rozwijających się w długim okresie i towarzyszących poprzednim pokoleniom, i tym wreszcie, z którym stykamy się najbardziej intensywnie w domu, pracy, na uczelni i ulicach. Lecz czy refleksja taka będzie wciąż interesować młodzież? Czy będzie ona chciała tylko naśladować zasobniejszych, popadając w „błąd antropologiczny” (tak często przez konserwatystów wytykany marksistom mającym człowieka za ciało pozbawione duszy), dążyć do sukcesu niby „uosobienie wolności” pretendującej do „suwerenności moralnej”, czy też podejmie namysł nad warunkami współbycia z innymi i znajdzie pośród nich rolę dla





tych treści, które ustalały się w długim okresie? To pytanie, które winien rozpatrzyć każdy młody człowiek; jak uczył nie tylko mnie w *Doktorze Faustusie* Tomasz Mann, uchodzący ongiś za jednego z przedstawicieli przednazistowskiej niemieckiej rewolucji konserwatywnej, nie starzy winni na nie odpowiadać, bo spoglądają z zewnątrz, spoza szczególnego „stanu”, ale jego uczestnicy, gdyż to oni wpływać będą na dalsze dzieje zbiorowości, w której zrazu się kształtują i w której są kształtowani.

**Prof. dr hab. Bogdan Szlachta**

Prawnik, filozof, kierownik Katedry Filozofii Polityki w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor naczelny czasopism: „Politeja. Pismo Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ” oraz „Myśl Polityczna”. Autor m.in. monografii *Z dziejów polskiego konserwatyizmu* (2000), *Monarchia prawa? Angielska myśl polityczna doby Tudorów* (2008), *Demokracja liberalna. Źródła, ustanowienie (?) i kres (?)* (2022). Specjalizuje się w badaniach nad historią doktryn politycznych i prawnych, historią zachodniej myśli politycznej. W obszarze zainteresowań badawczych Profesora znajdują się również współczesne dyskusje prowadzone w ramach filozofii polityki oraz kształtowanie się zachodniej tradycji prawnej.